

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 11 marca 1916. Nr. 11.

Z walk na Wołyniu.






1) Włodzimierz Wołyński po zdobyciu. 2) Okopy rosyjskie. 3) Lasy ks. Radziwiłłów, zniszczone pociskami armatniemi. 4) Zimowe podziemne mieszkania wojsk austro-węg.

Treść numeru: Wojna w Polsce. — „Krakowskie dzieci“ w okopach. — Bohater bojów karpackich. — Zdobycie stolicy Albanii. — Odwiedziny Turków. — Szlakiem bojowym Legionów. — W walce z bandytyzmem. — Dzieci na Warszawę i t. d.

Z walk na Wołyniu.

(Do illustracyi tytułowej).

Po wypędzeniu Rosyan z Galicyi i Królestwa Polskiego, armie sprzymierzone zajęły na Wschodzie olbrzymi front, ciągnący się od morza Bałtyckiego, aż do Bessarabii — na kresach dawnej rzeczypospolitej polskiej. Tam toczy się od kilku miesięcy walka pozycyjna, a nieprzyjacielskie armie stoją naprzeciw siebie nieraz w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów. Rosyanie kilkakrotnie już próbowali przełamać linie obronne wojsk sprzymierzonych, ale wszystkie ich ataki pozostały bez rezultatu. Wojska austro-węgierskie i niemieckie, pomimo trudnego terenu i zimowej pory, uczyniły z swych linii obronnych niezdobyte twierdze, które wszędzie na tym olbrzymim froncie, ciągnącym się przez Litwę, błota pińskie i lasy wołyńskie, powstrzymują skutecznie napór rosyjski.

Najzaciętsze walki toczą się na froncie wołyńskim, z którego zamieszczamy dzisiaj kilka fotografii na stronie tytułowej. Wre zwłaszcza nieprzerwana walka od jesieni roku zeszłego koło miasta Dubna. Jak donosi jeden ze sprawozdawców wojennych, przednie linie obu frontów, naszego i rosyjskiego, zbliżają się tam na 25 kroków. Austryacy zajmują wyspę Szurmaja, a Rosyanie wysunięty brzeg rzeki. Obie strony oddziela wielkie bagno. W nocy ziemianki żołnierzy austryackich oświetlone są światłem elektrycznem. Improwizowana dynamo-maszyna, ukryta gdzieś w środku przednich linii, sprawia hałas, który mógłby umarłego zbudzić. Granaty, które jej poszukują, przelatują ponad nią, szerzą śmierć wśród cywilnej ludności Dubna, uderzają w domy, wyrywają wielkie dziury w kościołach i ulicach, lecz nie szkodzą wiele żołnierzom, znajdującym się w Dubnie. Mieszkańcy miasta muszą być żywieni przez wojska austryackie, żaden bowiem cywilny mieszkaniec nie może opuścić miasta. 20 metrów poza linią bojową mieszkają ludzie w swych małych domach. Jeśli ciężki pocisk zburzy taki dom, to pozostali przy życiu chronią się do sąsiadów. Mimo jednak strzelaniny ludzie spacerują po głównej ulicy. Jeśli granat upadnie między spacerujących, to chronią się szybko do domów, a potem znów wychodzą spacerować. Również do wisielców ludność się już przyzwyczaiła, dla postrachu bowiem przed szpiegostwem wiesza się szpiegów w środku miasta.



„Krakowskie dzieci" w okopach; Wesoła chwila robocza w 13 komp. 13 p p



Szlakiem bojowym Legionów: Brygadyer Piłsudski (X) u rotm. Beliny.
(Fot. J. Mniszewski. C. B. W. — N. K. N.)

O charakterze i gwałtowności walk w puszczach i bagnach wołyńskich daje pojęcie relacya innego korespondenta, w której czytamy:

„W głębokim lesie wołyńskim, wśród błot i krzaków młodego lasu biegnie od wielu tygodni ustalona linia okopu.

Długie i dokuczliwe deszcze naprzemian z lekkim mrozem grudniowym urozmaicają życie żołnierskie, spięte jednostajną klamrą „ciszy na froncie" — jak opiewają urzędowe komunikaty.

Naprzeciw naszych stanowisk leży duża polana o szerokości 200 kroków i tuż za nią, na skraju lasu, okopy Rosyan.

Na lewem skrzydle, kędy oba pasma lasów — naszego i rosyjskiego — zbiegają się w trójkącie,



Wojna w Polsce: Na zgliszczach Włostowa. (Fot. Langier. C. B. W. N. K. N.)

obie linie okopów leżą w odległości tylko 250 kroków.

Ze zaś las podszyty krzewem daje możność zbliżenia się niewidocznego do okopów nieprzyjacielskich obie strony wystawiają tam zawsze straże polowe, jakby zbiorowe oczy i uszy okopów, które mają nieustanny obowiązek czuwania.

Zmiana szła za zmianą i noc — zdawało się — mimo niepewności oczekiwania, miała przejść spokojnie.

Atoli o jakiejś późnej godzinie nocy, omal nad ranem, placówki usłyszały poza sobą zgodny okrzyk „hurra", potem kilka pojedynczych wystrzałów i oddalone, zmieszane okrzyki: raz swoich żołnierzy, raz rosyjskie.

Natychmiast wysłane łączniki w moment były z powrotem:

— Moskale w naszych okopach!

W najwęższem miejscu polany leśnej, śród grząskiego bagna, szła wązka ścieżynka przeprawy. Przeciwnik, w sile kompanii, skorzystawszy z ciemnej i hucznej nocy, przeprawił się tędy, schwycił straże żywcem, nie pozwoliwszy im nawet zaalarmować towarzyszów i sam wdarł się poprzez zagrody druciane do okopu.

Wyprawa była zorganizowana doskonale. Moskale tryumfowali i z ich piersi wyrwał się głośny okrzyk „hurra!" Ale niedługo trwała ich radość. Zaalarmowane okrzykiem rezerwy rzuciły się z obu stron do ataku. Oficer rosyjski, w obawie odcięcia, musiał natychmiast zarządzić odwrót. Szybki i gęsty ogień karabinowy zasypał lawiną całą polanę i okopy wroga. Rosyanie uciekają w popłochu, dziesiątkowani gradem kul. Zbijają się wszyscy na małej grobli, jakby niebaczni kul, świszczących ponad ich głowami. Inni grzęzną po kolana i brzuch w torfowisku błotnem, padają bez sił i zmysłów, aby, wzięci na cel, dokonać żywota.

Wreszcie milknie kanonada, zalega cisza, a na pobojowisku pozostaje nowe żniwo trupów rosyjskich... Tak się skończył nocny atak rosyjski — jeden z tysiącznych epizodów walk na Wołyniu".

Zdobycie stolicy Albanii.



Zdobycie stolicy Albanii: Ogólny widok Durazza.

Zwycięski pochód wojsk sprzymierzonych na Bałkanach, który opanował już całkowicie dwa państwa, Serbię i Czarnogórę, zakończył się zajęciem księstwa albańskiego i jego stolicy Durazza, gdzie po wybuchu wojny zagospodarowali się Włosi.

W dzisiejszym numerze zamieszczając ogólny widok stolicy albańskiej, podajemy jednocześnie historyę tego starożytnego miasta.

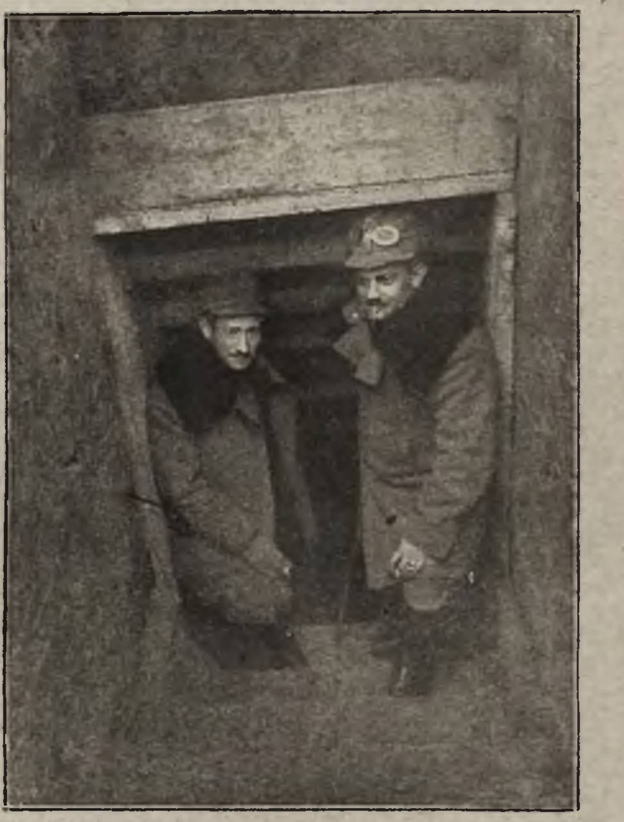
Durazzo, prastara stolica Albanii, leży na południowym końcu długiego na 10 kilometrów łańcucha wzgórz, który wznosi się na wysokość 104 metrów ponad poziom morza.

Założycielami miasta są — według najdawniejszych wiadomości — Grecy, którzy przybyli tu z Korcyry, dzisiejszej wyspy Korfu, około roku 625 przed Chrystusem.

Przeszło ono następnie pod panowanie Rzymian, a następnie cesarstwa bizantyńskiego, w roku zaś 1296 widzimy Durazzo w rękach króla serbskiego Stefana Urusa II. Milutina. Panowanie serbskie trwało jednak niedługo i Durazzo przeszło znowu pod władzę królów neapolitańskich.

W jakiś czas później car serbski, Stefan Duszan, obsadza całą Albanię i Epir, Durazzo atoli pozostaje w rękach Neapolitańczyków. — W roku 1368 władcą Durazza jest po raz pierwszy jeden z władyków z rodu Topia. W tych czasach na tronie Durazza zasiadał także jeden z serbskiej dynastyi Balszów, rządzącej także w Czarnogórze, Balsza Balszic, który tytułował się również ks. Durazza. Wkońcu gdy Turcy dotarli do wybrzeży Adryatyku, Wenecyanie odkupili Durazzo od ówczesnego księcia, Jerzego Topia.

Republika wenecka władała Durazzem przez 108 lat, od roku 1392 do 1501. Miasto znajdowało się już w upadku, z którego usiłowali je dźwignąć Wenecyanie. Po śmierci Skanderbega w r. 1468 Turcy zdobyli całą okolicę, co przyspieszyło upadek miasta. Mnóstwo mieszkańców wywędrowało. W r. 1501 do miasta weszli Turcy, w których posiadaniu miasto znajdowało się 412 lat, od roku 1501 do 1912. Panowanie tureckie przyspieszyło upadek Durazza. W roku 1912 w czasie wojny bałkańskiej miasto obsadzili Serbowie „na wieczne czasy". W sąsiedniej atoli Valonie proklamowano równocześnie niezawisłość Albanii i rząd prowizoryczny z Izmailem Kemalem bejem na czele. Serbowie, mimo szumnych zapowiedzi, musieli się wynieść z Durazza, gdyż mocarstwa europejskie postanowiły inaczej. Durazzo zostało stolicą samodzielnego księstwa albańskiego. Na tronie zasiadł ks. Wied, który przybył do Durazza 7 marca 1914 roku na pokładzie okrętu austryackiego, w otoczeniu wojennych okrętów angielskich, francuskich i włoskich.



„Krakowskie dzieci" w okopach: Komendanci 14 i 13 kompanii 13 p. p., por. Stoppler i por. Korpak w schronieniu przed granatami.

Po wybuchu wojny europejskiej ks. Wied, przeciw któremu wybuchło powstanie pod wodzą Essada paszy, opuścił Durazzo 24 sierpnia 1914 roku po półrocznych niespełna rządach. Durazzo wpadło wtedy w ręce Essada paszy. — Dziś jest w rękach austryackich.



Odwiedziny Turków: Książęta tureccy (1, 2) we Lwowie. (X) Komendant m. Lwowa gen. Rimml.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Bohater bojów karpackich.

Gdy II. brygada Legionów wyruszyła na Węgry, komendę nad drugim pułkiem objął pułk. Zieliński. Ongiś komendant pułku w Krakowie, dawniej nauczyciel w szkołach wojskowych, później w stanie spoczynku, ceniony był w kołach wojskowych i cywilnych dla niezwykłej prawości charakteru — i nic więcej. Aż wreszcie przyszła wojna i postawiła pułk. Zielińskiego na czele pułku Legionu, po to niejako, by ziścił się najcudniejszy z młodzieńczych jego snów.

Wziął tedy pułk. Zieliński pułk drugi i poszedł **w Karpaty**, a **historya stoczonych tam bojów, które**

okryły sławą oręż polski, będzie na zawsze związaną z nazwiskiem pułk. Zielińskiego. Był on nietylko dzielnym wodzem tych walk, ale prawdziwym ojcem i opiekunem młodych żołnierzy polskich, którzy wśród niesłychanych trudów, w ogniu najzaciętszych walk zaprawiali się do rzemiosła wojennego. A gdy Legion poszedł do Bessarabii, poszedł z nim i pułk. Zieliński, ale już nie jako komendant pułku, ale dowódca grupy Legionu. Komendę brygady objął kto inny,



„Krakowskie dzieci" w okopach: Obsługa miotacza min przy 13 kompanii 13 p. p.

ale pułk. Zieliński przy brygadzie pozostał, dzieląc wszystkie trudy swych młodych towarzyszów broni. Gdy trzeba było, mieszkał w okopach, a gdy pułki szły w bój, zawsze był pierwszy na froncie, wiódł żołnierzy do walki, ducha ich podtrzymywał.

Mamajetsie, Witelówka, Zadobrówka, Rokitna, Rarańcza — to chlubne karty bojów, których duszą był pułkownik Zieliński.

A co charakterystycznego i najpiękniejszego w nim było, to owo ogromne ukochanie żołnierza, ta miłość wielka, którą „chłopców swoich" otaczał.

Życie swoje cenił lekko — być może, że żołnierz stary a głęboko wierzący, przekonany był, że bez woli Bożej włos mu z głowy nie spadnie, lękał się natomiast zawsze o życie cudze, — szanował je jak skarb wielki.

Sam w ogniu armatnim potrafił stać i śledzić rozwój walki, a choć o kroków kilkanaście biły granaty, muskając go odłamkami stali, ani drgnęła ręka przytrzymująca szkła polowe, lecz zato, gdy ujrzał żołnierza wystawiającego niepotrzebnie głowę z rowu — z ojcowską pieczołowitością go przestrzegał i strofował...

Mówią, że wiek ma swoje prawa. Być może, ale nie u pułkownika Zielińskiego. Bukowinę wzdłuż i wszerz marszami pieszymi przeszedł, jak każdy z żołnierzy. Po trzydzieści kilometrów dziennie robiąc — nieraz o głodzie, częściej o chłodzie, szedł na spoczynek — w marszu bojowym, w pustem polu, przykryty płótnem namiotu, na sen się układał. A na pozycyi na równi z żołnierzami w rowie mieszkał, zanim wybudowano mu wreszcie ziemiankę osobną, nie lepszą, niż ją miał pierwszy z brzegu komendant plutonu. A jeśli czem zewnętrznie się różnił, to chyba tą niezwykłą schludnością, tym przedziwnym hartem i siłą, które sprawiały, że wyglądał zawsze, jakby zabierał się dopiero do pracy i trudu — gdy inni ze znużenia już z sił opadali.

Pułkownik Zieliński nie lubi mówić napróżno — ale gdy przemówi do żołnierzy, zawsze trafi do ich serc, bo czują wszyscy, że tu za słowem czyn i miłość idzie.



Bohater bojów karpackich: Pułkownik Zygmunt Zieliński.

A gdy później pułk. Zieliński komendę brygady objął, pozostał tym samym, czułym i najtroskliwszym opiekunem swych żołnierzy, dla których był nie tylko sprawiedliwym przełożonym, ale prawdziwym przyjacielem. Żołnierze i podkomendni cenią też i kochają pułkownika Zielińskiego, jak rodzonego ojca, z żalem też i ze łzami w oczach żegnano go, gdy zmęczony kilkunastomiesięcznemi trudami wojennemi opuszczał swych ukochanych towarzyszów broni, przeniesiony na nowe stanowisko komendanta grupy do Królestwa Polskiego.

Na tej nowej placówce pracy, szeregi legionowe i szerokie koła miejscowego społeczeństwa powitały ukochanego komendanta z entuzyazmem, otaczając go zasłużoną czcią i miłością.



Wojna w Polsce: Zgliszcza w Konstantynowie. (Fot. C. B. W. N. K. N.)

JÓZEF LASOŃ.

KADRY POLSKIE.

(Z cyklu: LEGIONY.)

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Pod sercem Polski — Warszawą, miasteczko się rozsiadło, historyczne miasteczko polskie — wioska, rzekłbym. Pamięta ono królów polskich, pamięta 63 ci rok, boje polskie, gdyż tutaj właśnie formowały się kadry na walkę z Rosyą. I dziś znów, jak przed pięćdziesięciu przeszło laty, wychodzą świeżo sformowane zastępy żołnierskie, aby dzieło ojców i dziadów dokończyć.

Przed wojną stał tu załogą pułk smoleński,

Huragan wojny przewalił się przez spokojne, w borach ukryte miasteczko, na każdym prawie kroku świecą ruiny i zgliszcza domostw.

Jak słupy graniczne pozostały osmolone kominy, jakby na upewnienie, że z gruzów tych i ruin — nowy dom powstać musi, pracowite ręce ludzkie skleją to — co huragan wojny rozburzył.

Więc gdzieniegdzie świecą białe kafle pieca na pół rozwalonego, kołyszą się framugi okien i drzwi, dziwnym trafem ocalałe, wiatr skrzypi niemi, ko łysze, póki ostatnich nie zerwie ogniw i na zgliszcza nie strąci.

Chmary wron kwaterujących w przyległych lasach z rannym brzaskiem stadami ponad miastem lecąc, kraczą — szukając żeru. Wojna odsunęła się spory kawał, nie ma więc tu żeru dla nich, chodzą przeto przez cały dzień po błotnych kałużach ulic, jakby gołębi stada lub domowe ptaki, i grzebią dziobami.

Czwarta część miasta w gruzach, jakby po trzęsieniu ziemi lub innym jakimś kataklizmie świata.

Czego nie zburzyły pociski armatnie, zniszczyła ręka kozacka, dlatego też domy, w których Rosyanie kwaterowali — gdzieniegdzie więcej zniszczone, niż od pocisków armatnich.

— — — — — — — — — — — —

Komenda Grupy Legionów Polskich.

Drewniany budynek, dworek rzekłbym podupadłego szlachciury, z gankiem wchodowym. Za dworkiem tymże ciągnie się szereg spalonych chat, sterczą okopcone kominy.

Więc w środku skromne pokoiki, w nich pokrzywione stoły i stołki, podobierane. Bóg wie skąd — to urząd Komendy Grupy. Nie znajdziesz ni jednego sprzętu, któryby potrzebny nie był, któryby dla upiększenia pokoju należał.

Ciasno wszędzie, praca wre gorączkowa, jak gdyby dziwnym mechanizmem połączone umysły ludzkie bez usterki prawidłowo funkcyonowały.

Godzina dziesiąta rano.

Młodzieńczym, rzeźkim krokiem wkracza szef grupy, pułkownik Zieliński, prężą się ciała żołnierskie przed dzielną postacią szefa, na surowej wie cznie jego twarzy przebija się dobrotliwy, ojcowski uśmiech.

Więc raport pułkowy.

Przed budynkiem czekają postacie żołnierskie, prężą się na gwałt, dygocze niejedno serce, prośbę mając przedstawić lub za winę jakąkolwiek przed obliczem wodza stanąć.

Jeden i drugi przypomina sobie w duchu żołnierskie słowa meldunku, dobiera wyrazów, aby jego prośba jak najlepszy wywarła skutek.

Więc według szarż i batalionów. Kapitan Terlecki, postać wyniosła, ognistą rzuca komendę i za chwilę wprowadza ich przed raport pułkownika.

Stanęli wyprężeni, jak struny, pułkownik pod chodzi, zabrzmiał głos komendy kapitana Terleckiego, raport się rozpoczyna.

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, sierżant N. N. prosi posłusznie o udzielenie mu urlopu.

Przenikliwym wzrokiem spogląda zacny pułkownik na żołnierza, jakby chciał wybadać, czy tenże zasłużył na urlop.

— Byliście w polu? — pyta pułkownik.

— Dwanaście miesięcy, panie pułkowniku.

— Dwanaście dni urlopu! mówi pułkownik dobitnym głosem, zwracając się do adjutanta.

Już pierwszemu serce przestaje dygotać z niecierpliwości, już radość zalewa mu duszę, gdyż urlop, to nie lada nagroda dla żołnierza.

Drugi odrazu melduje, że piętnaście miesięcy służby w linii ma, jakby się chciał upewnić, czy dłuższy urlop otrzyma.

Patrzą na niego oczy wodza, jakby do duszy zajrzeć chciały: czy dlatego, aby dłuższy urlop otrzymać czas służby podaje?

— Ranny byliście?!

— Tak jest.

— Dziesięć dni urlopu.

— Melduję i t. d. trzeci z rzędu raportuje.

— W polu jak długo?

— Trzynaście miesięcy..

— Ranny?

— Nie, panie pułkowniku.

— Czternaś ie dni urlopu, boś się ranić nie dał.

Płyną więc prośby po kolei. Kto zasłużył na nagrodę, kto na karę, — każdy dostaje swoje sprawiedliwie. Niejeden z smutną miną wychodzi — jednakże każdy przyznać musi, że co mu się należało, otrzymał.

Więc i otoczenie pułkownika, rzekłbym, jemu podobne.

S rowe a sprawiedliwe w służbie, po służbie do rany przyłóż serca bratnie, ojcowskie.

Tylko trzeba chcieć i zasłużyć.

Pułkownik Zieliński, to typ dawnego żołnierza polskiego, co to w bój jak lew szedł, sprawiedliwie karał lub nagradzał.

Znają go dobrze żołnierskie smyki i czy to urlop czy areszt dostają, zawsze kochają swego wodza, szanują go szczerze i oficerskie koła i chlubą ich jest, ze pod takim wodzem zaszczyt mają służyć Ojczyźnie!

— — — — — — — — — — — —

Brygada pierwsza...

Wielki drewniany barak, tuż u stóp miasta postawiony, pierwotnie służył pułkom rosyjskim. Więc i iście rosyjskie drogi doń prowadzą: szosa błotna, rzadko kiedy torfowiskiem się staje, zato wieczną kałużą. Scieżka polna piaszczysta, w której grzęzną nogi żołnierzy, zapadają się obcasy, stek przekleństw wyrywa się z ust strudzonego żołnierza.

Sam barak dość okazale wygląda. W bliskości niego drugi, który druga brygada zajęła, jednakże z powodu niepogody w mieście rozkwaterować musiano żołnierzy. Deszcze zatem wypędziły drugą brygadę z rozkosznych letnich legowisk i w środowisko miasta ich wpakowano, z czego najwięcej zadowoleni byli żołnierze.

Czwarta brygada zajęła szkoły, rzekłbym najporządniejsze tutaj kwatery, co nic zresztą dziwnego, bo to młody rekrut, więc trzeba go powoli przyzwyczajać do trudów, podczas gdy poprzednie bataliony, to stary żołnierz, który dolę i niedolę żołnierską zawsze jednako znosi i przywykły jest do wszystkiego: i do kiepskiej kwatery i do jakiejkolwiek strawy, więc nie grymasi i los swój pogodnie znosi.

Całe miasteczko szumi gwarem, brzękiem szabel i wszelakiej broni, tętentem koni, stukiem maszerujących oddziałów, głosem komend polskich, jak to było w 63. roku, gdy stąd właśnie kadry polskie wyruszały na bój z Moskwą.

— — — — — — — — — — — —

Grzęzną nogi w kałuży błota, wilgoć przesiąka od stóp, rozchodzi się po ciele wraz z dreszczami, trzęsie jesiennemi wargami. Grudki śniegu, w powietrzu już rozwilżone, powoli przesiąkają przez grube żołnierskie płaszcze i mundury, które pod wpływem wody coraz cięższe się stają, przygniatając i pochylając ciała ku ziemi. Miast styczniowego mrozu i wichru, jesienny jakiś rozlazwił się czas, ponury mglisty, beznadziejny, jak człek kończący żywot. Rzemienie plecaka wpijają się w ramiona, jakby stalowe rozgrzane sztaby pieką umęczone biodra, coraz większą torturę zadając.

Więc przystaje na chwilę żołnierz, rozważa w myśli, jakby ulżyć ciężaru, niepotrzebny sprzęt usunąć, rzucić przy drodze. Sortuje całą plecaka zawartość i wszystkiego mu żal: i koca, który choć wilgocią przesiąkł, napęczniał, zda się, największym jest ciężarem, szkoda mu, bo przyda się nieraz, gdy się w chałupę na pół zburzoną lub w opustoszałą kwaterę wstąpi, bo wówczas ciepłem własnego ciała ogrzany, w długą noc chronić go będzie od przemarznięcia; i zbrukanej bielizny, skrwawionej czasem, żal mu, gdyż to jedyna wyprawa żołnierska, może będzie czas wyprać ją gdzie, wysuszyć i choć raz za jakiś czas użyć rozkoszy zmiany bielizny.

I wszystkiego mu żal.

Pakietu kart pocztowych, które skrzętnie od kilkunastu miesięcy zbierał, a które długą tułaczkę żołnierską przypominają: i w szpitalu i w rowie strzeleckim i w marszu i wszędzie, gdzie tylko szedł.

Drobiazgów różnych krocie — i to szkoda...

Więc mimo ciężaru, pierwotna myśl ulżenia ramionom przepada gdzieś w mrokach wspomnień, w mrokach pamiątek. Chwila decyzyi, plecak wędruje z powrotem na ramiona i zacina się duch, jeszcze więcej twardnieje i prośbom strudzonego ciała o ulżenie ciężaru opiera.

Szukamy kwater drugiego batalionu.

Miasto pogrążone w ciemnościach nocy, gdzieniegdzie tylko z poza zamkniętych, drewnianych okiennic przez szczelinę smuga migotliwego światła przedziera się, dając znać o istnieniu ludzi.

— Hej, obywatelu? — spotkanego pytam Legionistę — gdzie tu jest kwatera drugiego batalionu, drugiej kompanii?

— Idźcie prosto, druga przecznica na prawo, potem na lewo, potem znowu na prawo i tam koło bożnicy.

— Prawo, lewo, nie wiadomo gdzie — klną koledzy, daremnie wpatrując się w ciemną dal uliczną.

— A na jakiej ulicy? — pytam dalej.

— Nie wiem, jaka to ulica. Tu nie wszystkie ulice mają nazwy. Ale chodźcie ze mną, podprowadzę was, idę do pierwszego batalionu, to prawie po drodze.

Idziemy w milczeniu za przewodnikiem, potykając się o kamienie, klnąc na obrzydliwą styczniową niepogodę, na miasteczko ciemnościami zalane. — W milczeniu przechodzimy obok ruin domostw, stąpamy po gruzach, jakby po ruinach Kartaginy. Ulice miasteczka biegną nieustannie przez wzgórza i niziny, rzekłbym, na szczytach górskich wzniesiona osada.

— O tutaj — przerywa wreszcie milczenie przewodnik, przystając przed murowanym domkiem. — Zameldujcie się inspekcyjnemu, zaprowadzi was na kwaterę.

Z ulgą wchodzimy do jakiejś piwnicy, mijamy długi korytarz, oświetlając zapałkami drogę, wreszcie jesteśmy u celu.

Piwniczne małe mieszkanko, z daleka wilgocią cuchnące, zadymione tytoniowym dymem, jak również palącą się na kominku sośniną, której zapach rozchodzi się po izbie, mieszany z zapachem żołnierskiego potu, wilgocią ścian, dławiąc oddech w gardle, wgryzając się w oczy.

Mimo spóźnionej pory, gwarno w tej izbie, hałaśliwie, jakby w fabryce jakiejś, gdzie nocną porą praca wre nieprzerwanie.

Stary żyd na gwałt wraz z całą familią wynosi swoje meble, które ukrył w tym lochu piwnicznym, zabezpieczył przed rabunkiem moskiewskim, a teraz znów, gdy Legioniści zajęli tę kwaterę, wynosi meble, ażeby więcej miejsca zrobić, a równocześnie skarby swoje ochronić przed uszkodzeniem.

Familijna narada ustawicznie trwa w żargonie, umurdzane żydzięta wynoszą z krzykiem i wrzaskiem drobniejsze kawałki, starsi zaś zabierają się do cięższych mebli.

Na środku prosty drewniany stół, zbity na prędce z desek rozmaicie zdobytych, jak również i ławka o koślawych nogach, chwiejąca się i huśtająca, z siedzącymi na niej Legionistami, którzy z pod oka obserwują rozgwarzoną rodzinę żydowską, nie mogącą sobie poradzić z przeprowadzką.

Podkasali żydzi bałaty, kredens powoli suną ku drzwiom, jednakże tu już stanęła bezradnie cała familia, widząc, że za słabe siły.

— Ny, panowie Legiony! Proszę pomóżcie — zwrócił się stary żyd do obecnych.

Jeden i drugi rusza ramionami, wkońcu po kilkunastu dowcipach, puszczonych w obieg, kredens wędruje, jak szopka wigilijna, na przygotowany przed domem wózek.

(Dokończenie nastąpi).



„Krakowskie dzieci" w okopach: Ksiądz Rudnicki udziela Komunii św. w polu

Zgon królowej rumuńskiej.

W pierwszych dniach marca r. b. zmarła w Bukareszcie w 73 roku życia królowa rumuńska Elżbieta, wdowa po królu Karolu rumuńskim, zmarłym w dniu 14 października 1914 r. Po za stanowiskiem dynastycznem, jakie zajmowała jako córka książęcego rodu Wiedów, a małżonka króla z dynastyi Hohenzollernów-Sigmaringen, należała także do osobistości, otoczonych sławą poetycką i uznaniem w świecie literatury i sztuki. Jako znana pod pseudonimem Carmen Sylva twórczyni licznych pieśni lirycznych, dramatów i nowel, należała do literatury europejskiej, a utwory jej tłumaczone były na wiele języków europejskich, między innemi i na polski.

Urodziła się w roku 1843 w Neuwied, jako córka księcia Hermana i księżnej Maryi z domu Nassau. W roku 1869 poślubiła księcia Karola rumuńskiego. Jako księżna Rumunii, a następnie po wojnie rosyjsko-tureckiej 1877 roku królowa, rozwijała żywą działalność na polu wojennej filantropii oraz sprawy wykształcenia kobiet. Rumuńska Akademia mianowała ją członkiem honorowym.

Z licznych dzieł poetyckich i innych zmarłej, które tworzą pokaźny, bo kilkadziesiąt tomów liczący dorobek, najcelniejsze są: „Sappko" i „Hammerstein" (1880), „Burze", „Pochód cierpienia", „Jehovah", „Pensées d'une reine" (1882), „Z królestwa Carmen Sylvy", „Rysunki ręczne", „Bukareszt", „Anna Boleyn" (dramat w 5 aktach) „Poezye rumuńskie" (1881), „Mistrz Manola" (dramat). W literaturze europejskiej poświęcono Carmen Sylvie kilka monografij. Tworzyła do ostatnich chwil życia, a jeden z jej dramatów miał być obecnie wystawiony w Bukareszcie.

Od śmierci króla Karola żyła w zupełnem odosobnieniu, przeważnie zdala od dworu na swym zamku w Sinaia, zajęta łagodzeniem nieszczęść



Zgon królowej rumuńskiej: Królowa Elżbieta (Carmen Sylva).

wojny, w krajach sąsiednich szalejącej. Zmarła była ciotką b. księcia Albanii, Wilhelma Wieda.



Dzieci na Warszawę: Przedstawienie „Jasełek" w Wadowicach Górnych na głodnych w Warszawie.

Dzieci na Warszawę.

Wioska Wadowice Górne w powiecie Mieleckim nie pozostała obojętną na niedolę Warszawy. Staraniem ks. Franciszka Łukasińskiego, ks. Jana Walaniego i miejscowego pocztmistrza p. Józefa Mitkowskiego, jako też pań: Eugenii Mitkowskiej i Zofii Stecówny urządzono tam przedstawienie „Jasełek“ i odegrano sztuczkę „Pod Krzyżem“. siłami wiejskich dzieci, które wywiązały się ze swoich ról znakomicie.

Przedstawienie przysporzyło dla głodnych Warszawy sumę około 200 koron.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy fotografię młodocianych wykonawców filantropijnego przedstawienia na scenie.



Wystawa Legionów w Krakowie: Organizator wystawy dr. Jerzy hr. Mycielski.

Wystawa Legionów w Krakowie.

W połowie marca bieżącego roku otwartą zostanie w krakowskim Pałacu Sztuki wystawa artystyczna, związana treścią z dziejami Legionów.

Inicyatywa tej wystawy, budzącej niezwykłe zainteresowanie, wyszła ze strony prof. dra. Jerzego hr. Mycielskiego, niepospolitego znawcy sztuki i jednego z najgorliwszych wyznawców idei Legionów. To też N. K. N., oddając przewodnictwo i protektorat nad tą wystawą w doświadczone ręce prof Mycielskiego, nie mógł uczynić szczęśliwszego wyboru. Nazwisko bowiem prof. Mycielskiego spotykamy zawsze tam, gdzie chodzi czy to o akcyę humanitarną czy artystyczną, lub narodową. Wystarczy, że przypomnimy z ostatnich czasów, że on głównie przyczynił się do wspaniałego sukcesu gwiazdki dla legionistów, dalej „loteryi artystycznej“ na dochód podupadłych materyalnie wskutek wojny artystów polskich, tudzież, że za jego inicyatywą powstały obie zeszłoroczne wystawy sztuki polskiej w Wiedniu, które krytyka niemiecka przyjęła ze szczerym podziwem i entuzyazmem. Już wówczas, jeszcze na gruncie wiedeńskim, wyłonił się projekt, aby w najbliższej przyszłości urządzić wystawę dzieł sztuki, poświęconych wyłącznie Legionom.



„Krakowskie dzieci“ w okopach: Wesoła grupa „trzynastaków“. (X) Dr. Jeziorski. (XX) Por. Korpak.



Szlak'em bojowym Legionów: Na straży przed zasiekami.
(Fot St. Dzikowski C. B. W. — N. K. N.)



Komendanci 13. i 14. kompanii 13. p. p. badają pozycye rosyjskie.



„Krakowskie dzieci“ w okopach: Zajęcia dzienne „trzynastaków“ w rowach strzeleckich.



Wojna w Polsce Przemarsz Legionistów przez spaloną wieś (Fot. T. Langier, C. B. W. — N. K. N.)

Miejscem takiej wystawy mógł być tylko Kraków, strażnica majestatu polskiej przyszłości i kolebka Legionów.

Wytrawne kierownictwo i znawstwo prof. Mycielskiego dają wszelką gwarancyę, że Wystawa Legionów będzie nie tylko świętem artystycznem i narodowem, ale także wyrazem hołdu, złożonego przez sztukę polską krwi i wysiłkom bohaterskich Legionów.

„Krakowskie dzieci“ w okopach.

Rok już z górą upłynął, gdy żegnaliśmy 13 p. „krakowskich dzieci“, wyruszający na pole walki. Szli z entuzyazmem, z humorem, z kwiatami w czapkach i uśmiechem na ustach. Od tego czasu wielu już z nich w ciężkich morderczych bojach złożyło w ofierze swe zdrowie i życie, a na ich miejsce poszły nowe szeregi „krakowskich dzieci“. „Trzynastka“ okryła się laurami sławy i usypała już niejedną mogiłę, ale w tych ciężkich bojach, wśród huku armat, w obliczu śmierci, czyhającej na każdym kroku, nie osłabły te blizkie i serdeczne więzy, jakie łączyły ją z Krakowem i nie osłabł bynajmniej animusz i humor „krakowskich dzieci“... Świadczą o tem wymownie listy i kartki, jakie nadchodzą od nich z okopów... Tam, w rowach strzeleckich, wśród trudów wojennych i w ogniu walki



Wojna w Polsce: Na zgliszczach Sobowic (nad Nidą). (Fot. T. Langier, C. B. W. — N. K. N.)



„Krakowskie dzieci" w okopach: Komendant IV. batalionu major Rück (X) ogląda „pułapkę" na nieprzyjaciela, wybudowaną przez komendanta 13 kompanii, por. Korpaka (XX).



Szlakiem bojowym Legionów: Tabory w Bessarabii. (Fot. C. B. W. — N. K. N.)

nie zapominają o podwawelskim grodzie i jego życiu... Niema uroczystości i rocznicy narodowej, któraby nie znalazła oddźwięku wśród dzielnych „trzynastaków", którzy z okopów ślą swe skromne datki na cele narodowe i filantropijne, przesyłając serdeczne a pełne dobrej myśli pozdrowienia. A z tych listów i kartek tryska nieraz dowcip i dobry humor, jak za dawnych, dobrych czasów przy bezfrasobliwej zabawie na bruku krakowskim.

Trzynastacy pozostali „dziećmi krakowskiemi" i tam w okopach, a srogi Mars nie stłumił w nich bynajmniej wspomnień, które tu pozostawili i tej życiowej werwy, jaka ich zawsze charakteryzowała.

A jeśli „trzynastacy" o nas pamiętają, pragną również, abyśmy i o nich nie zapominali... Przysyłają nam też często fotografie, które pozwalają nam na własne oczy oglądać — życie „krakowskich dzieci" w okopach i ich dziarskie, pełne animuszu postacie...

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg tych zdjęć, które z pewnością będą miłą pamiątką dla tych, co tu pozostali, a których myśl biegnie właśnie tam — do okopów.

Z żałobnej karty Legionów.

Nowe wciąż laury przybywają do wieńca sławy Legionów polskich, ale i nowe groby wyrastają na krwawych szlakach tych walk i zwycięstw. Do długiej listy tych bojowników sprawy polskiej, którzy wiarę w lepszą przyszłość narodu przypieczętowali własną krwią i ofiarą młodego życia, przybyło niedawno nazwisko ś. p. Kazimierza Gwiazdomorskiego, chorążego szóstego pułku piechoty Legionów Polskich.



Z żałobnej karty Legionów: S. p. Kazim. Gwiazdomorski, chorąży 6. pułku Legionów polskich.

Urodzony dnia 20 maja 1890 roku w Krakowie, ś. p. Gwiazdomorski po ukończeniu tu gimnazyum, wyjechał na politechnikę do Charlottenburga, następnie studyował matematykę, fizykę i chemię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Gdy wybuchła wojna, dnia 30. września 1914. roku wyruszył jako Legionista z drugim pułkiem w pole. Był w Marmarosz Sziget, brał udział w bitwach pod Nadwórną, Nazamiszowem, Tarnawicą, Leśną Sołotwiną, Mołotkowem, Pasieczną, Worochtą, Krzyworównią, Sokołówką, Rafałową i Zieloną. Wyczerpany straszliwymi trudami, zaniemógł na zdrowiu w Karpatach. Wkrótce potem ukończył szkołę podchorążych i został adjutantem przy drugim batalionie szóstego pułku piechoty.

Raniony 28. października 1915. roku, zmarł 3. listopada 1915. roku. Zwłoki młodego bojownika sprowadzono na wieczny spoczynek do rodzinnego miasta i w dniu 2 marca bieżącego roku pochowano na cmentarzu rakowickim.



W walce z bandytyzmem: Rozprawa bandytów w Nowo-Radomsku przed sądem wojennym 1) oskarżyciel, nadpor. aud. Fedyński, 2) naczelnik sądu wojsk., major aud. Władysław Dworak, 3) protokolant, j. d. o. ochotnik Tanbenschlag, 4) członek sądu, nadpor. Mysłowski, 5) prowadzący rozprawę, nadpor. aud. dr Winnicki, 6) przewodniczący rozprawy, major Löffler, 7) członek sądu, nadpor. aud. Indiszewski, 8) członek sądu, nadpor. Horetsi, 9) obrońca, nadpor. Mazurkiewicz, 10) obrońca, nadpor. aud. Wilczak, 11) obrońca, nadpor. aud. dr. Spett.



Z żałobnej karty Legionów: S. p. por. Feliks Czech.



W walce z bandytyzmem: Stawieni przed sąd wojenny w Nowo-Radomsku bandyci. 1) Stefan Gajewski, 2) Antoni Małolepszy, 3) Franciszek Sliwakowski, 4) Kazimierz Malicki, 5) Franciszek Stanisz, 6) Józef Kowalski, 7) Józef Piasecki, 8) Józef Dudek, 9) Jan Stanisz, 10) Kazimierz Stanisz.

W dniu 20. lutego bieżącego roku złożył również dań ze swego, młodego życia Krakowianin, podporucznik piątego batalionu I brygady ś. p. Feliks Czech, który w 23 roku życia zmarł w szpitalu w Chełmie.

Urodzony w Krakowie, ś. p. Czech przez trzy lata studyował na Politechnice lwowskiej. Zajmując się od dawna organizacyą strzelecką, znalazł się wśród pierwszych szeregów, które z początkiem sierpnia 1914 roku wyruszyły do Królestwa. Przebył szczęśliwie cały szereg bitew i potyczek, aż ranny pod Łowczówkiem musiał na pewien czas opuścić ukochane szeregi. Po wyleczeniu z ran powrócił na pole walki, gdzie bez przerwy do ostatniej chwili przebywał i walczył, aż uległ przemożnej chorobie.

Odznaczając się niezwykłą pogodą ducha, cieszył się ogólną miłością wśród podkomendnych i towarzyszów broni.

Cześć jego pamięci!

W walce z bandytyzmem.

Administracya okupowanych przez Austro Węgry terenów Królestwa Polskiego ma bardzo ciężkie zadanie do spełnienia, musząc na każdym kroku walczyć z bandytyzmem, który za czasów rządów rosyjskich rozwielmożnił się w całym prawie kraju, a i dziś, choć sądy wojenne nie żartują, pojawia się jeszcze tu i ówdzie. Czynownictwo rosyjskie występowało wprawdzie na oko przeciw bandytom, w gruncie rzeczy przecież tolerowało ich zbrodnie, ciągnąc z tego materyalne korzyści. Doszło do tego, że w Królestwie Polskiem nikt nie był pewnym ani życia, ani mienia, a o opiece ze strony czynników powołanych nie było i mowy.

Zupełnie inaczej dzieje się teraz. Zarząd austryacko-węgierski zabrał się energicznie do wyplenienia tej plagi, wobec przyłapanych zbrodniarzy występując z całą surowością, by w ten sposób dać odstraszający przykład innym.

W ostatnich dniach lutego b. r. zajmował się tego rodzaju sprawą sąd wojenny w Nowo Radomsku, którego kierownikiem jest znany i ceniony w szerokich kołach naszego miasta, major audytor, p. Władysław Dworak.

W okolicy Nowo Radomska bandytyzm zaczął zwolna głowę podnosić, dzięki jednak zabiegom żandarmeryi, zostającej pod kierownictwem nadporucznika dra Nattera, udało się wyśledzić sprawców zbrodniczych napaści i oddać ich organom karzącej sprawiedliwości.

Wyrokiem sądu doraźnego z dnia 21 lutego 1916 zasądzeni zostali za zbrodnię rabunku, względnie usiłowanego morderstwa Stefan Gajewski, Józef Piasecki, Józef Dudek, Kazimierz Stanisz, Jan Stanisz, Kazimierz Malicki i Józef Kowalski na karę śmierci przez powieszenie, zaś Franciszek Stanisz na lat 20, a Antoni Małolepszy na lat 16 ciężkiego i obostrzonego więzienia.

Wyrok został przez właściwego komendanta dnia 21 lutego b. r. potwierdzony, o godzinie 10 rano ogłoszony, odnośnie do kary więzienia zaraz, a odnośnie do kary śmierci o godzinie 12 w południe wykonany.



W walce z bandytyzmem: Publiczna egzekucya bandytów, skazanych przez sąd wojenny w Nowo-Radomsku.

Wyrokiem sądu wojennego z dnia 26 lutego b. r. zostali skazani za udzielenie pomocy do powyższej zbrodni przez ukrywanie zbrodniarzy względnie przez niedoniesienie o ich zamiarach i czynach władzy. Franciszek Sliwakowski na 3 lata, Władysława Konopka i Piotr Skibiński na 1 rok ciężkiego i obostrzonego więzienia, a Jan Wilk za zbrodnię oszustwa przez fałszywe zeznanie przed sądem na 6 miesięcy obostrzonego więzienia, a wreszcie Jacenty Urbańczyk przez przechowanie małowartościowego karabinu wbrew polecenin władzy, na 1 tydzień zwykłego aresztu.

Wyrokiem z tegoż samego dnia skazany został dalej Jan Kasza za zbrodnię usiłowanego rabunku na 10 lat ciężkiego i obostrzonego więzienia.

Wyroki te właściwy komendant zatwierdził bez zmiany, a z przysługującego mu prawa łaski nie skorzystał.

Dzięki temu surowemu wyrokowi, który rzucił postrach na okoliczne męty społeczne, mieszkańcy Nowo Radomska i sąsiednich wsi po raz pierwszy od lat wielu odetchnęli spokojnie, czując, że jest przecież jakaś władza, która czuwa nad ich bezpieczeństwem.



W walce z bandytyzmem: Miejsce stracenia bandytów w Nowo-Radomsku

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

35

— Czy do mnie są zwrócone te słowa?

— Skądże znowu! To tylko oderwane spostrzeżenie. Niech pan sobie wyobrazi, że spotkały mnie tu niedawno odwiedziny, jeszcze mniej oczekiwane, niż pańskie. Czy nie zgaduje pan, panie Delrue?

— Owszem — mruknął przez zęby Delrue, który czuł, że zaczyna już tracić grunt pod nogami. — Odwiedziny wuja miliardera, nieprawdaż?

Janina nie mogła się powstrzymać od ironicznego uśmiechu.

— Nie, nie, uspokój się pan, jeszcze nie spotkałam u nas wuja miliardera, ale zato spotkałam się z tymi bandydatami z ulicy Entrepot. Pamięta pan? Ci, co na mnie tak bezczelnie napadli! Barykada i jego towarzysz. Nie zna ich pan?

— Jakże pani chce, żebym mógł ich znać...

— Bo oni pana znają doskonale.

Delrue naprzemian miotany był wściekłością i przerażeniem, które jednak ukryć usiłował.

— No! — jeżeli pani teraz wierzyć zacznie jak w ewangelię bajkom takich ludzi — odparł, siląc się na swobodny uśmiech.

— Nie we wszystkiem, panie Delrue. Ci jednak mieli wcale ładne znajomości.

— Doprawdy?

— Na przykład, wie pan, znali hrabiego de Kermor!

Z piersi nędznika wybiegł okrzyk stłumiony. Więc ta dziewczyna wiedziała o wszystkiem! A ci, których opłacił, aby ją usunąć, zdradzili go przed nią?! Na szczęście jeden i drugi nie żył już, nie mogli więc świadczyć przeciw niemu.

— Nie mówmy więcej o tem — odparł twardo. — Nie wiem, w jakim celu obarcza mnie pani jakiemiś zarzutami, czy podejrzeniami, opartemi na niecnych kłamstwach i potwarzy. Przyszedłem do pani w celu dobrym i szlachetnym, pozbawionym wszelkiego wyrachowania i egoizmu.

— Słucham pana, panie Delrue, ale proszę nie chciej mnie już ratować. Ja już sama nad sobą czuwać będę w przyszłości.

Oczy Andrzeja Delrue błyszczały gorączkowym blaskiem. Janina, widząc jego niepokój i podniecenie, odeszła od kuchni, przy której dotąd stała i skierowała się ku drzwiom, ale Delrue szybko zagrodził jej drogę. Teraz był gotów na wszystko! To przecież była tylko kobieta, dziecko prawie, sama, bez obrony! Odwaga utracona powracała w nim, ożywiona wspomnieniem ironicznych słów bankierówny... przyszłej narzeczonej...

— Panno Janino! — wyrzekł głosem głośnym, syczącym. — Przyszedłem ci powiedzieć, że cię kocham, że ofiaruję ci nazwisko moje i majątek. Czy chcesz zostać moją żoną?

W głosie jego nie brzmiała już prośba, tylko rozkaz i groźba. Janinę prawdziwy lęk ogarnął, ujrzała tego człowieka w tej chwili takim, jakim był w rzeczywistości: nędznikiem, bezwzględnie dążącym do uplanowanego celu.

— Panie Delrue! — odpowiedziała drżącym głosem. — Mam wuja, przybył tu rzeczywiście. Stary jest, ułomny i biedny, tak jak ja, ale zawsze jest głową rodziny i zastępuje mi ojca. To do niego powinien pan był się zwrócić przedewszystkiem.

— Ah! Cóż on mnie obchodzić może! Ciebie to kocham i mieć muszę, rozumiesz!

— Mylisz się, mój chłopcze! — zabrzmiał nagle ostry, surowy głos. — Trzeba najsamprzód pomówić z wujem i to jak się należy.

— Allan!

— Tak! Mój mały.

Drzwi otworzyły się szeroko i Allan, odrzuciwszy kulę od siebie, wszedł do pokoju. Blady był i straszny! Przyskoczył do zdrętwiałego nędznika i jak piłkę zniósł w powietrze w muskularnych ramionach, poczem bez pośpiechu wyszedł z domu i skierował się ze swoim ciężarem w stronę skały Per-Roche.

— Ostrzegłem cię przecież, mój przyjacielu — mruczał przez zaciśnięte zęby — że powinieneś unikać spotkania się ze mną, bo ci ono na zdrowie nie wyjdzie. Nieostrożnym byłeś i dlatego teraz zapłacisz długi zaciągnięty u mnie.

Delrue usiłował się wyrwać, ale na próżno. Żelazne dłonie Allana zacisnęły się nad nim jak kleszcze. Czuł, że już oddech traci... i słyszał głuchy szmer fal, bijących monotonnie o granitowe podnóże skał...

— Ratunku! pomocy! — krzyknął ostatnim wysiłkiem. — Litości!... poddaję się!

— Żartujesz, kochanku! — brzmiała spokojna odpowiedź.

Allan już teraz przyspieszał kroku. Wściekłość i gniew wzbierały w nim coraz gwałtowniej... Zakończy już przecież porachunek z tym nędznikiem!... Potoczy się za chwilę ze skały Per Roche w spienione wody morza — poniesie karę za tyle zdrad i krzywd wyrządzonych!...

Janina niczemu zapobiedz nie mogła! Wejście Allana tak ją zaskoczyło, że nie była w stanie głosu wydobyć z piersi... Nie chciała wierzyć oczom własnym! Przerażenie i zgroza odebrały jej jasność umysłu! Bo to, co ujrzała, było tak niespodziewane! Zgrzybiały, ledwie wlokący się o kuli wuj Allan, jak młodzik przyskoczył do nędznika i uniósł tak, jak ją niegdyś unosił Barykada!... I głos ten jego zmieniony, stanowczy, pełny siły! Janina sądziła, że jest ofiarą jakiejś halucynacyi mózgowej. Ten dzień cały, pełny wstrząsających wypadków, to był może niezdrowy sen, z którego się przebudzi... Ale! nie! nie! to przecież była rzeczywistość! Wuj Allan istniał! tylko teraz to był inny człowiek! prawdziwy opiekun i przyjaciel! Wybiegła przed dom i wołać chciała, błagać go o litość nad nędznikiem, ale wicher zniósł głos daleko, na morze... Nagle Janina wstrząsnęła się cała! Co się tam działo, mój Boże! Żywa, gorąca krew bretońska gwałtowną falą obiegła jej ciało! Uczuła się odważną i silną! I zrozumiała, że nie Delrue, ale stary jej wuj zginąć może...

— Wuju Allanie! — krzyknęła donośnym głosem. — Strzeż się! Ona cię zabije!...

— — — — — — — — — — — — —

Zbawienne to ostrzeżenie dobiegło do Allana. Odwrócił się prędko. Czas był najwyższy! Poza nim wzdłuż wybrzeża biegła kobieta uzbrojona w rewolwer! Dążyła ku niemu, broń podniosła, mierzyła. Allan porzucił swoją zdobycz i skoczył naprzód. Zanim strzał wymierzyć mogła, broń jej z ręki wypadła. Allan pochwycił jej ramię i ubezwładnił. Leżała już teraz u jego nóg, dysząc ciężko. Oczy jej, krwią nabiegłe, rzucały nienawistne, wściekłe błyski...

— Tak, to ja! — krzyczała ochrypłym głosem. — Nie spodziewałeś się mnie, nędzniku! Przypatrz mi się dobrze, ty włóczęgo, miliarderze! Protektorze Kermorów! Przypatrz mi się dobrze i słuchaj uważnie słów moich! Cały Paryż wiedzieć będzie, słyszysz, że przyszła hrabina de Kermor pracowała u matki Wiktoryi... że uciekła z więzienia — i że tam jeszcze powróci!...

Janka le Brenn była już przy nich, słyszała, widziała wszystko! Szalone wzruszenie wstrząsało całą jej postacią. Rozpaczliwym ruchem objęła Allana ramionami i błagała płacząc:

— Oszczędź ją, wuju Allanie! oszczędź! to kobieta!

— To żmija, którą obowiązkiem moim jest zdeptać natychmiast. — dyszał rozwścieczony Bretończyk. — Ależ u dyabła! Gdzież ja tę nędznicę już widziałem! Te oczy! włosy!

Pod badawczem, groźnem spojrzeniem Allana, Sydonia zbladła śmiertelnie. Ręka jej ujęta w żelazny uścisk dłoni Allana zadrżała.

— Zdaje się, że się nie mylę — ciągnął Allan dalej, dostrzegłszy jej przerażenie. — To córka mojego złodzieja z Alaski! Ah! Boże! Co za odwet dla mnie, jeżeli to naprawdę ona! Słuchaj, nędznico, poznaję cię, choć starałaś się dobrze twarz swoją zmienić, ale zdradziły cię te szatańskie, złe oczy! Idź! zwracam ci wolność, podła istoto! Z tobą nie mam nic więcej do czynienia, ale spotkam się z ojcem twoim, z tym złodziejem Bronnem! Allan robotnik kopalniany i baron de Bressien odnowią dawną znajomość! Co? poznałaś mnie także, prawda?

Sydonia leżała na ziemi bezwładna, osłupiała. Już teraz koniec był wszystkiego, koniec ostatnich nadziei! Ostatni grom spadnie na dom przy bulwarze Haussmana i nie było już w jej mocy ratować się przed nim.

— Wracajmy do domu — rzekł Allan do Janiny. — Nie myśl już o niej! Mamy ze sobą do pomówienia o przyjemniejszych rzeczach.

Lecz w tejże chwili spojrzenie jego padło na rewolwer, upuszczony przez Sydonię i leżący na trawie. Podniósł go i obejrzał dokładnie.

— No! no! — zauważył — to ciekawe, rewolwer z moją marką! Więc i to jeszcze było w planie! Chcieliście mnie zamordować i rewolwer zostawić przy mnie, aby podsunąć przypuszczenie samobójstwa! Bardzo ładnie! Skoro miał i tak być moim, zabieram go! Przyda się jeszcze na jakiego podłego tchórza!

Pogardliwym ruchem wskazał na uciekającego poprzez skały ku wybrzeżu Andrzeja Delrue.

— Nie bardzo usłużny i uważający na formy jest ten nędzny wspólnik — dodał jeszcze, odchodząc. — Ucieka sam, nie podziękowawszy nawet za obronę.

Powrót na ulicę Beotic.

Sydonia de Bressien pozostała sama na wielkiej skale, zawieszonej nad Oceanem. Postawiła teraz wszystko na ostatnią kartę i przekonała się, że partyę przegrała bez nadziei odwetu. Musiała obecnie uciekać i chronić się przed ostatnim uderzeniem Great Allana, skierowanym na nią, a przedewszystkiem na jej ojca. Bo przecież poznał ją i zechce się zemścić!... Poznał, bo wspomniał o Alasce, o krainie lodów i śniegów wiecznych... A potem była Ameryka północna, następnie południowa Afryka... kopalnie złota po kopalniach dyamentów i... Izmael Bronn, złodziej... wszędzie i zawsze... To, co uczynił ten żyd przebiegły, nie wiedziała dokładnie... a właściwie wiedzieć nie pragnęła... Coś jednak złego uczynić musiał i czyn ten teraz znowu zwróci się przeciw niemu...

— Należy go ostrzedz — myślała, rzucając bezradne spojrzenie w stronę domu le Brennów — a potem zajmiemy się tamtymi. Tylko przedewszystkiem ojca muszę ukryć w bezpiecznem miejscu, gdzie nikt go nie dosięgnie. I tyle walk, tyle trudów podjętych i z tego dla mnie nic nie wynikło! Zupełnie nic! A ten Delrue! nikczemny, podły tchórz! Teraz tak liczyłam na niego!

Widziała jak biegł w stronę skał, tworzących rodzaj wysokiej ściany i jak płaz jakiś wślizgnął się pomiędzy nie i znikł z przed jej oczu. Wstręt i pogarda wstrząsnęły nią. Wzruszyła ramionami i udała się w przeciwległą stronę.

Niekiedy los ludzi zależny jest od drobnostki, od mało znaczącego pozornie wypadku, czy czynu. Gdyby Sydonia pomimo wszystko była się udała za Audrzejem Delrue — ojciec jej byłby uratowany, Allan na zawsze usunięty, a Janina le Brenn pozostawiona na jej łasce. Nie byłaby może uzyskała upragnionego szczęścia, ale byłby to przynajmniej odwet natychmiastowy i zuchwały i zapewnienie zupełnego spokoju i bezpieczeństwa na przyszłość.

Ale Sydonia nie mogła przeczuć tego, zwątpiła w swoją dobrą gwiazdę i odwróciła się od wspólnika swojego losu, idąc prosto naprzeciw nieodwołalnemu nieszczęściu. A przecież Andrzejowi Delrue szczęście dalej sprzyjało! Miał on w sobie jakąś ochronną siłę, pchającą go naprzód, w którą tak bewzględnie wierzył stary lichwiarz, Collin M gret, i nazywał ją „opatrznością złej siły"! Te skały, do których instynktem wiedziony, podążył Delrue, były schroniskiem jego wroga, Allana le Brenn.

Kiedy stanął na miejscu, rozejrzał się bacznie naokoło; nikt go widzieć nie mógł, nikt go nie śledził i nie biegł za nim. Odetchnął głęboko, wypoczął i już trzeźwość i rozwaga powracała do jego umysłu. Dreszcz go przebiegł na wspomnienie niebezpieczeństwa, przed którem uszedł. Wyszedł z niego cało, dzięki szalonej odwadze swojej energicznej towarzyszki. Gdyby nie interwencya Janiny, zamach na Allana byłby się udał, ale byłby pociągnął za sobą wielkie ryzyko. Lepiej się stało, że sprawa ułożyła się w ten sposób. Allan mógł go w Paryżu co prawda odszukać teraz i zaszkodzić mu, ale już nie mógł go zniszczyć, jak nędznego robaka od jednego zamachu.

— Będę umiał się bronić przed tym wściekłym Amerykaninem — przyrzekał sobie. — Ale co za spotkanie. Wyskoczył do mnie, jak dyabeł z komina! I do tego jeszcze w tym kostyumie! Ale cóż to znowu ma znaczyć?

Kawałek ciemnego płótna wyrobu angielskiego wystawał w szczelinie jednej skały. Delrue z trudem odsunął kamień i wyciągnął zdziwiony ubranie Allana.

— Oh! — szepnął — to może mi się przydać!

Obejrzał raz jeszcze dokładnie okolicę. Przypływ morza, wzrastający z każdą chwilą, wypłoszył już z wybrzeża rybaków i dzieci. Był sam zupełnie! Nikt nie mógł przyjść przeszkodzić mu w tej grocie, oprócz Allana jedynego. Ale jego będzie mógł ujrzeć zdaleka. Delrue rozłożył popielatą kurtkę i przeszukał kieszenie. W jednej z nich, od środka, natrafił na portfel Amerykanina. Twarz jego zabłysła radością! Portfel Allana! Ma go więc w ręce, ten sławny, wypełniony portfel! Było w nim mnóstwo banknotów różnych, książka czekowa, papiery... Co za wspaniała gratka! Gorączkowo Delrue poszukał swojego portfelu i wyjął z kieszeni.

— Ależ to szczęście! — mruczał, drąc nerwowo portfel swój w kawałki, które rzucił daleko w głąb groty, podmywanej stale wodą morską.

Szalone pragnienie zachowania banknotów ogarnęło go. Pokusa była silna, ale przezwyciężył ją zmysł ostrożności. Wzięcie banknotów byłoby zanadto ryzykownem i niebezpiecznem! Allan le Brenn, człowiek rozważny i konsekwentny, mógł zanotować sobie numera banknotów i łatwo będzie wyśledzić tego, który je w kurs puszczać zechce. Przyszła mu myśl wyrzucić ubranie Allana na szerokie morze, ale byłby to czyn również nierozważny i wyzywający. Złożył je więc z powrotem w miejsce, w którem je znalazł, zadawalniając się zdobyczą, którą uważał za prawnie mu się należącą! Czy nie mógł brać szczęścia, tam, gdzie się trafiało? Potem uradowany, z lekkiem sercem, pewny już dalszego powodzenia, opuścił grotę.

Gdyby jednak w tej chwili znajdowała się przy nim Sydonia de Bressien, jakiż inny obrót wziąłby rzecz cała! Grota była głęboka, ciemna, pełna kryjówek doskonałych i pewnych! Doskonale służyć mogła jako miejsce zasadzki.

Należało tylko czekać cierpliwie na nadejście Allana le Brenn, przybywającego dla zmiany kostyumu. Delrue miał przy sobie rewolwer swój własny i kto wie, czyby amerykanin wyszedł był żywy z groty napadnięty z nienacka.

Pozostawała tylko Janina, z którą łatwo poradzić sobie również mogli. Ale Sydonia nie przeczuwała, że ten plan, taki łatwy i nie przedstawiający żadnego niebezpieczeństwa, był do urzeczywistnienia. Odeszła odwracając się pogardliwie od swojego wspólnika i od losu, który raz jeszcze poddawał jej sposobność do złego czynu.

Uciekała do Paryża, jakgdyby magnetycznie przyciągana katastrofą, która ją tam czekała.

Czy tylko zdoła przybyć na miejsce pierwsza, czy nie uprzedzi jej Allan, działający zawsze z błyskawiczną decyzyą i niezwalczoną energią?

Bo wtedy już na nic nie zda się plan dalszej jej ucieczki i wywiezienia ojca, będzie zmuszona złożyć broń, którą odpornie dotąd walczyła i uznać się za zwyciężoną bezwarunkowo na całej linii.

— — — — — — — — — — — — — —

Allan le Brenn uniósł zemdloną Janinę do domu, gdzie ostrożnie położył ją na łóżku. Kiedy odzyskała przytomność, wybuchnęła gwałtownym płaczem, lecz nie były to już łzy pochodzące ze smutku i rozpaczy. W wzruszeniu młodej dziewczyny mieściła się już nadzieja i przeczucie innego, nieoczekiwanego życia...

— Moje dziecko — rzekł łagodnie Allan, kiedy uspokoiła się cokolwiek. – Sądziłem, że będę mógł dłużej tu pozostać z tobą, ale okoliczności i wypadki zrządziły inaczej. Nie oszukałem cię. Nazywam się rzeczywiście Franciszek Allan le Brenn, a te łachmany, które mam na sobie, były jedynym moim ubiorem w czasie długoletniej mojej tułaczki na morzu. Wiele rzeczy później w życiu mojem uległo zmianie. Sam pomogłem losowi i stałem się tym, czem jestem obecnie. Do dawnych moich nędznych ubrań, które zachowuje skrzętnie, jako przypomnienie złych dni, jestem dziwnie przywiązany. Spoglądam niekiedy na nie z rozczuleniem i dumą. O tobie zaś, moje dziecko, powziąłem dokładne informacye i chciałem charakter twój poznać do gruntu. Jednakże wypadki uprzedziły mnie w tem badaniu i pomimo, iż krótko bardzo przebyłem z tobą, wiem, że będziesz doskonałą żoną i panią domu. Bo nie wiesz jeszcze, moja mała, że jesteś od niedawna zaręczona. Co? Dziwisz się nieprawdaż, że tak swobodnie rozporządziłem twoim losem? Zyczyłaś mi szczęśliwej drogi, kiedy niedawno odchodziłem stąd i życzenia twoje się urzeczywistniły. Zdobyłem dla ciebie męża, z którego, jeżeli wzech mnie nie myli, będziesz bardzo zadowolona.

Janina osłupiała, przejęta zdziwieniem wodziła bezradnie oczami za olbrzymią postacią Allana, przechadzającego się po pokoju.

Po chwili stary marynarz mówić dalej zaczął energicznie, jak gdyby spieszyło mu się zakończyć tę rozmowę.

— Muszę ci wyznać, że zajmuję się sprawami finansowemi amerykańskiemi i afrykańskiemi, jak się zdarzy. Jestem dyrektorem przedsiębiorstwa kolejowego i zarabiam dobrze na życie. Będę mógł nawet wyposażyć cię należycie, co koniecznem jest do zawarcia twojego małżeństwa. Twój mąż będzie moim wspólnikiem i przyjacielem.

— Wuju Allanie, przebacz mi... ale ja nie chcę wcale wychodzić za mąż... — wyszeptała nieśmiało Janina.

— Doprawdy?

— Ależ zaręczam ci, wuju.

— Och! jak ty brzydko kłamiesz, moja mała, i oszukujesz starego wuja Allana.

— Nie chcę cię oszukiwać, mój wuju...

— Dobrze, dobrze, ale na razie uczyń mi tę przyjemność i wysłuchaj mnie i nie bierz mnie kochanko za dziecko naiwne. Przeciwnie, wiem, że pragniesz bardzo gorąco wyjść za mąż i że specyalnymi względami obdarzasz mojego wspólnika i przyjaciela.

Uśmiechnął się chytrze i podszedł do Janiny.

— Dzielny chłopiec, nieprawdaż, ten Henryk de Kermor? — wyrzekł, kładąc dłoń na jej ramieniu. To on, twój wybrany! Masz dobry gust. W zeszłym miesiącu jeszcze byłem jego towarzyszem w Kongo.

— Och! wuju Allanie! — zawołała Janina — Dlaczego dręczysz mnie tak okrutnie? Żartujesz ze mnie, z mojego nieszczęśliwego uczucia! I w jakim celu? Gdybyś wiedział wszystko!

— Wiem, moja kochanko i nie żartuję z poważnych rzeczy, pamiętaj o tem. Chcesz się przekonać? Masz tu telegram markiza de Kermor, otrzymany dzisiaj rano. Zechciej go przeczytać uważnie.

Mówiąc to, Allan podsunął przed oczy Janiny telegram, który zawierał prośbę o jej rękę. Janka czytała i wierzyć sobie samej nie mogła. Łzy szczęścia zwilżyły jej twarz pobladłą. Rzuciła się w ramiona Allana i ucałowała go gorąco.

— Wuju Allanie! czy to możliwe!

— Widzisz przecież! Musiałem odpowiedzieć, nieprawdaż?

— Wuju Allanie! nie wiem, co się dzieje ze mną. Nie wiem, czy to sen... czy śmierć...

— Nikt nie umiera ze szczęścia. Odpowiedziałem za ciebie „dobrze", uważasz? To miało znaczyć, że wszystko dobrze załatwione i że moja siostrzenica zgadza się zostać hrabiną de Kermor. Nie widzę w tem nic, coby ciebie do łez, albo śmierci pobudzać mogło!

Janina przez łzy zaczęła się uśmiechać i coraz goręcej pokrywała pocałunkami opaloną, ciemną twarz Allana.

— No, no, dosyć, bo mnie zadusisz! — wołał uradowany, przyciskając ją silnie do piersi — myślałby kto, że to wszystko dla mnie.

— Wuju Allanie! jakiś ty dobry!

— Cicho, cicho! Markiza de Kermor oczekuje cię z niecierpliwością — rzekł Allan, odwracając oczy wilgotne od łez — nie pora na robienie sentymentu. Zabieraj się prędko do swojej tualety, a ja także się trochę przebiorę. A przedewszystkiem zamknij dobrze te drzwi i pamiętaj na drogę okryć się dobrze, bo pojedziemy automobilem, a ty nie jesteś do tego przyzwyczajona.

W kwadrans później Allan już powracał ubrany w swój angielski garnitur, trzymając pod pachą zawinięte starannie stare swoje łachmany.

Janka zaśmiała się radośnie, widząc tę przemianę, ale nagle ogarnęło ją silne wzruszenie. Człowiek, który stał przed nią, tak był podobny teraz do jej ojca, Iwona le Brenn.

— O cze mój! — zawołała podbiegając do niego.

— Henryk już mnie tak nazywa — rzekł wesoło Allan. — Jestem ojcem wszystkich, nie wiedząc o tem. A dzięki Bogu nie ożeniłem się, bo nie spotkałem w całem mojem życiu kobiety dla mnie przeznaczonej. A zresztą teraz, to już jest dla mnie bez znaczenia. Proszę cię, moje dziecko, chodź ze mną, muszę się niestety opiekować tobą, aż dokąd Henryk przy tobie mnie nie zastąpi. A spiesz się, bo czas nagli.

Janka prędko zamknęła drzwi domku, kryjącego w sobie tyle różnorodnych dla niej wspomnień, lecz gdy już odchodzić miała od progu, żal serdeczny ścisnął jej serce.

— No, no! — zawołał Allan, widząc jej wzruszenie — czy chcesz, żebym cię z całem gospodarstwem przeniósł do Paryża? Powrócimy tu jeszcze.

Klucze oddane zostały żonie strażnika i Allan pociągnął oszołomioną i drżącą Janinę.

— Wuju Allanie — szepnęła żegnając raz jeszcze spojrzeniem ukochany swój kącik — takie to wszystko dziwne i nagłe, że tracę głowę i nic zrozumieć nie mogę.

— Nie potrzebujesz wysilać się też na zrozumienie. — odparł Allan — Powiesz tylko „tak" przed panem wójtem, to samo przed księdzem proboszczem i rzeczy doskonale się same dalej ułożą.

Przybywali już do zajazdu, w którym zatrzymał się Allan.

— Proszę mi dać limoniady i to w wielkiej ilości! — rozkazał Allan oberżystce. Chcesz się założyć ze mną — zwrócił się do Janiny — że nie potrafisz wypić tyle, co ja? Bo muszę ci się przyznać, że mam czemś spalone wnętrzności na węgiel i to mnie wyleczyło od brzydkiego nałogu pijaństwa, jakiemu się oddawałem.

Janka zaczerwieniła się na te słowa, przypomniawszy sobie małe oszukaństwo, którego się dopuściła wobec wuja.

— Gdzie szofer? — zawołał Allan głośno.

— Jestem, proszę pana! — odpowiedział, wybiegając z drugiego pokoju.

— Zawieziesz nas, przyjacielu, do Paryża, na ulicę Boetic w wolnem tempie.

Szofer nie wierzył własnym uszom. Po raz pierwszy, odkąd był w usługach Allana, otrzymał rozkaz podobny.

— W wolnem tempie? — powtórzył ze zdziwieniem, otwierając oczy szeroko.

— Jaknajwolniejszem. Nie sądzisz chyba, że obawiam się o swoje lub twoje kości?

— Nie panie... Ale może pan chory?

— Zdrów jestem, jak ryba, tylko nie chcę, żeby się wydarzył jaki, choćby najlżejszy wypadek tej oto panience, pannie Allan, dla której na przyszłość proszę o większe uszanowanie i posłuszeństwo, jak dla siebie samego. A teraz dosyć rozmowy, proszę przygotować maszynę.

W dziesięć minut później automobil biegł w spacerowem, łagodnem tempie, szeroką drogą wiodącą do Paryża, unosząc ze sobą uszczęśliwioną Jankę i radosne marzenia. Allan zmęczony trochę dniem gorączkowo spędzonym, owinięty w płaszcz szeroki, drzemał spokojnie wsunięty wgłąb miękkich poduszek, od czasu do czasu budził się i spojrzeniem pełnem przywiązania obejmował wdzięczną postać swojej siostrzenicy, zatopionej w rozmyślaniach, które wyraz pogody i cichego rozmarzenia kładły na jej twarz zaróżowioną od wiatru.

— — — — — — — — — — — —

Baron de Bressien stał się rzeczywiście ofiarą swojej wielkiej idei i ambicyi; zawrotny bieg ku kopalniom złota, mający zrealizować wszystkie jego pragnienia, okazał się niebezpieczny, upadek zaś tych kopalń był kryzysem decydującym w karyerze finansowej starego aferzysty. Musiał się on pożegnać na zawsze ze sławą najgłośniejszego bankiera we Francyi!

Najgorsi nędznicy chronią się często instynktowo pod najuczciwszą i najsolidniejszą firmę. Swojego czasu Andrzej Delrue zwrócił się był w sprawie zakupna na imię niejakiego Smitha z Londynu, do jednego z najbardziej poważnych ajentów handlowych w Paryżu. Tenże, nieświadomy rzeczywistości, dopomógł w znacznej mierze do rzucenia na targ Giełdy papierów wartościowych. Kiedy ujrzano, że sprzedaje za najniższą cenę akcye sławnej kopalni, zrobił się ruch i zamieszanie, które wkrótce zmieniło się w panikę.

Od jednego zamachu wartość wszystkich kopalń złota, reklamowanych przez bankiera de Bressien, spadła do minimalnego znaczenia, nikt się z niemi już nie liczył, a każdy uważał pieniądze w nie włożone za niepowrotnie stracone. I wtedy błyskawicznie niechęć i nienawiść do barona wybuchła gwałtownie. Interesowani byliby się z nim zachowali brutalnie i bezwzględnie, gdyby był miał odwagę stanąć im w oczy. Baron de Bressien był zanadto ostrożny, aby się narażać na tak poważne niebezpieczeństwo, zresztą nie mógł już nigdzie się pokazywać, będąc pogarszającą się z każdym dniem chorobą przykuty do swojego gabinetu. Tłum wrogi i krzyczący, którego nawet ajenci policyjni uspokoić nie byli w stanie, wdarł się pod dom bankowy i złorzecząc i grożąc tłukł szyby, usiłując dostać się do środka. Ale ostrożna Sydonia zabezpieczyła się przed tą hańbiącą ostatecznością. Żelazne drzwi i okiennice banku zostały natychmiast szczelnie zamknięte.

Klienci bankiera musieli więc tylko poprzestać na podaniu skarg do prokuratoryi państwa.

Główny zaś dyrektor wziął na siebie ciężar uspokojenia całego personalu biurowego, lękającego się o całość złożonych w banku kaucyi. Wypłacalność Banku francuskiego, w imienin markizy de Kermor, dawała pewne i poważne gwarancye. Cały dzień prawie trwał popłoch i zamieszanie pod oknami domu bankowego. Zniecierpliwiony tłum coraz natarczywiej dopominał się o swoją zagrożoną własność — dopiero pod wieczór silny oddział policyi zdołał rozproszyć pokrzywdzonych. Wówczas na ulicy, wyglądającej jak pobojowisko, zarzuconej kapeluszami i laskami, zapanował spokój, normalny ruch został przywrócony, ale drzwi banku dalej zostały zamknięte.

Było to nazajutrz po odjeździe Sydonii i Andrzeja Delrue do Bretanii. Kiedy powróciła w nocy, zauważyła pogorszenie w stanie zdrowia ojca. Leżał sam, bezwładny i opuszczony w swoim pokoju. Pomimo fizycznego cierpienia, zachował jednak przytomność umysłu i mógł sobie zdać sprawę z ruiny ostatecznej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Szlakiem bojowym Legionów: Oficerowie czwartego pułku przed odpoczywającym komendantem podp. Roją.

Odwiedziny Turków.

W tych dniach bawili dwukrotnie we Lwowie, w powrocie z frontu, dwaj książęta tureccy Abdulrahim i Osman Fuad. Na dworzec przybył na ich powitanie komendant m. Lwowa Rimml i towarzyszył im w automobilu do hotelu Żorża, gdzie książęta zajęli apartamenty. Książętom towarzyszą w podróży ze sztabu niemieckiego pułkownik Strempel, a ze sztabu austryackiego pułkownik Tinz i major Werpmayer. Do południa odpoczywali książęta, poczem w hotelu odbył się obiad, w którym wzięli udział także gen. Rimml i wymienieni wyżej oficerowie. Po obiedzie w hotelu Żorża, odbyli książęta przejażdżkę po mieście, między innemi byli w parku aeroplanów, a wieczorem byli w teatrze na przedstawieniu.



Z walk w Polsce: Zburzony dwór w Konarach. (Fot C. B. W. — N. K. N)

Kronika tygodniowa.

„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz“, oto słowa, które we środę popielcową zwiastowały nam koniec karnawału i początek wielkiego postu, który zapewne dlatego tak się nazywa, że u nas specyalnie trwa rok cały.

Sprawozdania z przebiegu karnawału składać nie myślę. Każdy wie, że tego roku nikt się nie bawił, gdyby zaś był się znalazł amator zabaw z tańcami, dziś z pewnością rezydowałby w szpitalu waryatów. Nawet pączków nie było w myśl rozporządzeń władzy, tu i ówdzie tylko ktoś po cichutku usmażył kilka i zaprosił na nie znajomych, aby przypadkiem nie zapomnieli, jak smakują. Przyznam się w sekrecie, ale proszę mnie nie zdradzić przed władzą, że przez cały ten czas jeden jedyny pączek spoczął na dnie kronikarskiego żywota!

I to się ma nazywać karnawał!

Karnawałowy ruch ludności, odbijający się stale na liczbie zawartych małżeństw, spadł prawie do zera. Kandydatek do czepka jest wprawdzie dość, płeć brzydka myśli przecież więcej o wojnie, niż o miodowych miesiącach, zwłaszcza, że spożywanie miodu i innych słodyczy ma być także z urzędu unormowane i ograniczone. Doszło do tego, że urzędnicy miejskiego biura statystycznego, którzy po inne lata w tym czasie pocili się z pracy, dziś z braku innego zatrudnienia liczą pojawiające się muchy, zwiastuny zbliżającej się wiosny i ziewają na zmianę.

A ostatki?... Aż żal o nich wspominać! Człowiek, znalazłszy w swej kieszeni również ostatki monety, może byłby poszedł gdzieś do knajpki, aby zalać robaka, niestety, wstydził się, gdyż Liga kobiet, uznając zapewne słuszność mych wywodów w sprawie zaprowadzenia jednego dnia wstrzemięźliwości i ofiary, wyznaczyła aż trzy odrazu, ale tak jakoś nieśmiało, iż to przeszło na ogół bez wrażenia. Widząc z tego, że będzie *fiasco*, a uważając się poniekąd za pewnego rodzaju inicyatora projektu, wolałem ze wstydu w domu siedzieć, ćwicząc się w różnych cnotach i ciesząc samem wspomnieniem popielcowego śledzia. Wspomnieniem, powiadam i nie kłamię, dziś trzeba bowiem być co najmniej kamienicznikiem i to nie byle jakim, by sobie pozwolić módz na taki zbytek. Wspominam więc zeszłorocznego i oblizuję się na *conto* przyszłorocznego, o ile ich *nota bene* łodzie podwodne zupełnie tymczasem nie wyniszczą.

Józio „z pod Obrazu“, który jest obecnie referentem obdzierania śledzi ze skóry, zapytywany przezemnie o zdanie w tym względzie, oświadczył kategorycznie, że nie miałby nic przeciw temu, by śledzie wogóle skasowano, gdyż robota koło nich nie jest wcale przyjemną. Ze strachu przed łodziami podwodnemi i minami ścierpła na nich skóra i nie chcą z niej w żaden sposób dobrowolnie wyłazić, a pan Focking gniewa się potem, jeśli wszystko nie jest zrobione „jak się patrzy“.

Tradycyjny śledź pocztowy, czy marynowany w roku bieżącym w wielkopostnym czasie zniknie więc z horyzontu, co go jednak zastąpi, tego na razie nikt powiedzieć nie umie.

A jakie są horoskopy na przyszłość?... Także bardzo smutne, dowiadujemy się bowiem, że w krótkim już czasie ma nam przybyć trzeci dzień urzędowego postu, doliczywszy zaś trzy postne dni kościelne i jeden „z przyzwyczajenia“, otrzymamy cały tydzień bezmięsny.

Wyobrażam sobie, jak to dodatnio wpłynie na nasze usposobienia! Jarski sposób prowadzenia życia łagodzi obyczaje... Przed oczyma memi roztacza się widok Błoń miejskich i plantacyi, na których w miłej zgodzie, niczem niewinni barankowie, skubią sobie trawkę dawni pożeracze befsztyków, zrazów i rozbratli...

Ale i na to trzeba będzie mieć kartę, podobnie jak teraz na chleb, a w najbliższej przyszłości na cukier, naftę i t. d. Każdy z obywateli będzie wobec tego musiał zaopatrzyć się w specyalny futerał, w którym w osobnych przegródkach będzie mógł nosić różne karty, legitymacye oraz świadectwo szczepienia ospy, znaczące dziś więcej niż dyplom doktorski.

Jak Szanowni Czytelnicy widzą, żałość bije z każdego wiersza mej kroniki, ale chyba nikt się nie dziwi, gdyż jest ona pierwszą wielkopostną, więc nawet nie wypada, by była utrzymaną w innym tonie! W miarę, jak post wielki będzie się zbliżał ku końcowi, a z nim razem i wojna i ton kronik będzie weselszy, dałbym zaś wiele za to, by, dzieląc się tego roku wielkanocnem jajkiem, można sobie już było winszować, że się wojna skończyła...

Czy się to jednak stanie?... Wątpię, nie tracę przecież nadziei. Ale się to przecież stać może, skoro bowiem nastaje wiosna, a z nią mają wrócić jaskółki, może wreszcie prócz zwykłych u nas oknówek, dymówek i brzegówek (tak nas ongiś uczono według zoologii prof. Nowickiego), przywiodą ze sobą i jaskółki pokojowe, o których tu i ówdzie wspomina się bodaj półgębkiem.

Wyobrażam sobie, jaka to wówczas frajda zapanowałaby w całym narodzie!

Czekajmy, kto cierpliwy, ten się doczeka!

Do wzbudzenia tem większej żałości w mem sercu przyczyniła się niepomiernie i wiadomość, jaką wyczytałem w dziennikach, że kolega mój po piórze, pan Gabryel d'Annunzio, włoski oficer od lotników, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, który, kto wie, czy nie pociągnie za sobą utraty jednego oka. Poeta nie powinien przecież latać na aeroplanie, ale jeździć na pegazie, a to nie jest takie niebezpieczne. Stworzenia te są zazwyczaj spokojne, zwłaszcza teraz, gdy owsa wcale nie dostają. Z jednej strony żal mi go, że pchał niepotrzebnie nos tam, gdzie go nie powinien, z drugiej strony zazdroszczę mu, będzie bowiem miał lekką śmierć po najdłuższem, daj mu Boże, życiu, będzie bowiem potrzebował zamknąć tylko jedno oko, gdyż drugiego brak.

Każdy zrozumieie, jak to podniecająco musi wpływać na natchnienie poetyckie, gdy się, niczem orzeł, szybuje w aeroplanie po przestworzach!... Jak się to potem jest nastrojonym!... Niestety, ja sobie na to nie mógłbym pozwolić, cierpię bowiem na zawroty głowy i zwykła huśtawka, albo i karuzela, na której ongiś brałem lekcye konnej jazdy, bardzo źle na mnie oddziaływa. Wolę już tworzyć nastroje na krakowskim bruku. Kto wysoko nie lata, ten nizko nie spadnie, a kto nie spadnie, ten sobie oka nie wybije, ani się nie potłucze. Gdyby pan Annunzio był mnie słuchał, byłby dziś zdrów, tak jak ja, nic mi już bowiem nie dolega, prócz braku monety, ale na chorobę tego rodzaju nie wymyślono dotąd ani szczepienia ochronnego, ani żadnego środka, któryby radykalnie mógł pomódz.

Bojąc się, by mi przypadkiem znowu nie brakło miejsca na załatwienie najważniejszych spraw, to jest na odpowiedź na kilka listów, jakie w ostatnim czasie otrzymałem, już teraz zabieram się do tej materyi, pierwszeństwo naturalnie dając płci nadobnej.

Z Berna na Morawach nadesłano pod mym adresem list rekomendowany, ale tak gruby, iż w pierwszej chwili obawiałem się, czy nie zawiera przypadkowo jakiej piekielnej maszyny, lub czegoś podobnego. Któż jednak wyobrazi sobie moje zdziwienie, gdy we wnętrzu znalazłem całą paczkę tytoniu za czterdzieści cztery halerze i czuły list od pewnej niewiasty, która wzruszona memi skargami na brak tytoniu u nas, posyła mi paczkę, tłumacząc się, że „czem chata bogata, tem rada“ i wyrzucając mi, iż swojego czasu wzgradziłem jej sercem...

Wzruszyła mnie do łez... W pierwszej chwili, jako że w owym czasie brakowało u nas rzeczywiście tytoniu, chciałem skręcić sobie papierosa i puścić na jej cześć kilka wonnych dymków, w sam czas przyszła przecież refleksya... Przypomniałem sobie Hofrichtera i jego pigułki na wzmocnienie nerwów i zaraz pomyślałem sobie:

— A nuż ta niewiasta, zgniewana rzeczywiście, że ofertę jej zbyłem milczeniem, chce się teraz pomścić i posyła mi zamiast tytoniu, jakiś środek wybuchowy, który rozerwać może na kawałki?... Wszak kobieta, gdy sama kocha, a czuje, że nie jest kochaną, zdolną jest do wszystkiego!...

Na samą myśl o tem ciarki przeszły mnie od stóp do głów i odwrotnie tytoń zabrałem i zaniosłem do znajomego chemika, znającego się i na materyałach wybuchowych, z prośbą, by zawartość paczki zbadał i wydał potem orzeczenie.

— Dobrze! — odpowiedział — Wszak braknie tytoniu, to się mi przyda! Proszę się zgłosić za kilka dni.

Gdym przybył, zawiadomił mnie, że tytoń był zupełnie dobry i suchy. Wypalił go do ostatniego papierosa, ponieważ zaś nie zaszkodził mu wcale, wydaje więc orzeczenie, że owa niewiasta z Berna nie nastawała wcale na moje życie, owszem, mając czułe serce, ulitowała się widocznie nademną i chciała mnie poratować w czasie głodu tytoniowego.

Zrzedła mi mina, nos opuściłem na kwintę, bo nie tylko tytoniu nie miałem, ale nadto „po znajomości“ zapłacić musiałem kilkanaście koron za rozbiór chemiczny i wydanie orzeczenia. Wstydzę się dziś tego, przepraszam ową panią, iż jej nie dowierzałem i na przyszłość obiecuję solennie poprawę, zaznaczając przytem, że wolałbym tytoń lepszej sorty i w większej paczce, ewentualnie pudełko jakich dobrych cygar. Ezaw za misę soczewicy sprzedał swe pierworództwo, dobrym tytoniem lub cygarami można kupić moją miłość, ale proszę o tem nie mówić nic Weronisi, gdyż miałbym się z pyszna. Nie pozwoliłaby mi potem palić, przypuszczając, że to może znowu prezent od której z mych wielbicielek.

Do tytoniu odnosi się i drugi list, mianowicie od owego pana ze Sącza, który pisze:

„Czytując zawsze *Nowości Illustrowane* (co się Panu bardzo chwali! Będzie Pan za to zdrów, bogaty i szczęśliwy!... przyp. kronikarza), często mogę spotkać jakieś dokuczliwe wycieczki o Sączu, jednakowoż ostatnia obraziła mnie najbardziej, jako palacza, bo przed laty, jak wybudowano Dyrekcyę skarbu i w tyle magazyny na tytoń, które wilgotne były przez cały szereg lat, a wszyscy musieli palić stęchły tytoń i cygara, to nikt wtedy nie umiał się ująć za nami. Dopiero teraz, jak każdy wstrzymuje się, by tyle z dymem nie puszczać, znajdują się zazdrośni opiekunowie“...

Nie widzę w tem absolutnie żadnej obrazy honoru królewskiego miasta Sącza, a pozatem zastrzegam się, że w kronikach nigdy nań nie napadałem. Gotów jestem dać konia z rzędem, kartę chlebową i los loteryi klasowej, jeśli mi ktoś potrafi wykazać, że w ostatnich kilku latach, choćby mimochodem o tym sławetnym grodzie pozwoliłem sobie wspomnieć.

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.

Ułożył H. Flaczyński

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A, b, c, d, e, e, g, h, i, j, l, ł, m, m, n, n, o, ś, u, y

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko i imię polskiego artysty dramatycznego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2 Imię i nazwisko polskiego powieściopisarza. 3 Zamek w dolinie Ojcowa 4 Stan społeczny 5 Związek chemiczny 6 Tytuł lekarza. 7. Godność. 8 Zwierzę przeżuwające 9 Inaczej uroda 10. Napój bogów olimpijskich. 11. Wyrażenie matematyczne. 12. Imię męskie. 13 Ptak wodny. 14 Zaimek 15 Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wujek nie doi kury, bo naprzód jadł złe u Mini.

Szarada.

Ułożył H. Flaczyński.

Pierwsze-piąte pożywienie,
Pierwsze-drugie czeka za przewinienie,
Drugie-trzecie to uczony,
Bardzo często zabłocony,
Pierwsze-szóste droga światła,
Czwarte głoska w alfabecie,
Całość na pewne już wiecie.

Logogryf.

Ułożył H. Flaczyński.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą pseudonim (dwa wyrazy) i właściwe nazwisko polskiego powieściopisarza.

■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —
■ — — —
— ■ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Instytucya finansowa 2 Wieśniak. 3. Imię męskie 4 Zawód 5 Zwierzę 6 Ptak. 7 Inaczej napad. 8 Narzędzie stolarskie 9 Ogród 10 Dostojnik kościelny. 11 Rodzaj wojska 12 Duchowny 13. Klęska elementarna 14 Kwiat. 15 Imię męskie 16 Inaczej uczczenie kogoś. 17 Opera 18. Spór. 19 Ptak 20 Panujący.

Zadanie do przestawiania.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Podane litery tak poprzestawiać, aby powstały dwa znane polskie przysłowia:

1) Ananie! Rabin sapie!
2) Bas N. trzaskał.

Grzebieniówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko jenerała niemieckiego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —

Znaczenie wyrazów: 1. Komedyopisarz francuski 2. Zakonnik 3. Pisarz rzymski 4. Maszyna rolnicza. 5. Bogini grecka.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Pradziad Juno Zęson gryzie wąs nocą

Bilety wizytowe.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

T. SCAPLOMIREJ

A. R. ATEWALSKI.

R. NATAN TELETENERYCZ

ARON K. ŻĘSZNICKI.

OTO K. A. CYNELSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9.

Logogryf:

T e m i s t o k l e s
A r c h i d y a k o n
D z i e s i ę c i n a
E k s k o m u n i k a
U l t r a m a r y n a
S a l l u s t y u s z
Z w i e r c i a d ł o
A n a k r e o n t y k
J ó z e f K r e m a r
D z i ę c i e l i n a
U n i w e r s y t e t
K r z e m i e n i e c
I l l u s t r a c y a
E l e k t r o m e t r
W ł a d y w o s t o k
I n t e r w e n c y a
C h r y z a n t e m a
Z e g a r m i s t r z

Kwadrat magiczny:

W
g i l
m a t k a
k o r s a r z
K o n s t a n t y
n i e w o l a
b r o n a
o s a
z

Zadanie do przestawienia: Kto zadziera nos do góry, pokazuje w nosie dziury.

Logogryf geograficzny:

M i t a w a
A t e n y
D n i e p r
A t l a s
G d a ń s k
A z o r y
S a m b o r
K a p r i
A f r y k a
R o s y a

Łamigłówka: Władysław Bandurski.

Zadanie do przestawienia: Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.

Bilety wizytowe: Galicya, Horodenka. Afganistan, Kabul. Chiny, Kanton. Tybet, Lhassa. Senegambia, Dakar.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło. I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń. K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, M O[illegible] Wy[illegible]oda, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S Grodzicki Praga L. Kowalski Praga, S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Sawicka Lwów, R. Krolicki Krościenko. Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **L. Kozubski, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Właściwy powód.

— Jak to może być, panie Zenonie? Już cztery lata, jak jesteś pan żonaty, oboje jesteście ludzie młodzi i zdrowi i nie macie dzieci?

— Widzi pani dobrodziejka, w tem leży właściwy powód, że moja teściowa obiecała, iż po pierwszem dziecku zjedzie do nas na dłuższy czas...

Co gorsze?

— No, jakże tam idzie panie Michale?

— Źle, źle, łaskawco! Ożeniłem się, mam młodą żonę, która ciągle choruje...

— To nie jest jeszcze tak wielkie nieszczęście! Mój drogi, ja mam starą żonę, która niestety ciągle jest zdrowa!...

Nieporozumienie.

— Ach! moja pani! Mąż przywiózł mi z swej podróży dwie śliczne wazy z majoliki...

— Nie może być! To aż tak daleko jeździł?...

Także powód.

— Czem pan jesteś, panie baronie? Jaki właściwie jest pański zawód?

— Jestem zięciem bankiera Jajtelesa...

Ma racyę.

— Więc pan przez wakacye nie wyjeżdżał nigdzie z Krakowa?

— Naturalnie... Przecież to jedyne dwa miesiące, kiedy człowiek ma spokój od swych przyjaciół...

Poznał swój swego.

Pan Taubeles (do swojego synka): Lubuniu! A czem ty chciałbyś być, gdy dorośniesz?

Synek: Dowódcą bandy zbójeckiej!

Pan Taubeles (do żony): Sure! Powiadam ciebi, że ten chłopiec to urodzony jest na dyrektora banku!

Zemsta.

— No! Ale dałem się we znaki memu konkurentowi!

— Cóż takiego mu zrobiłeś?

— Wszedłem z nim w spółkę!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.